

WSPOMNIENIA. OBRONA LWOWA¹

W zeszycie monograficznym „Pamiętnika Teatralnego”, wydanym w stulecie odzyskania niepodległości, ukazał się artykuł o teatrze lwowskim wraz z aneksem, zawierającym materiały dotyczące udziału Andrzeja Pronaszki w Obronie Lwowa.² W ramach aneksu zabrakło miejsca na obszerniejszą relację bohatera, spisaną przez niego we wczesnych latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku. Sprawozdanie z dramatycznych wydarzeń listopadowych, których był świadkiem i uczestnikiem, jest jednak na tyle ważne i interesujące, że zasługuje na bliższą lekturę. Warto oddać głos twórcy i poznać historię tamtych dni widzianą jego oczami także i z tego powodu, iż z zamieszczonej we wspomnianym zeszycie humorystycznej charakterystyki oraz wzmianki o fatalnej w skutkach niesubordynacji Pronaszki pióra porucznika Jerzego Schwarzenberga-Czernego³, a także z pisma Dyrekcji Teatru Miejskiego we Lwowie do Magistratu, w którym donoszono o oczekiwaniach finansowych i niewielkiej przydatności scenografa dla tamtejszej sceny⁴, wyłania się niezbyt chwalebny obraz żołnierza i artysty. Tymczasem w jego własnych wspomnieniach znajdujemy wizerunek narysowany w całkiem innych barwach i wymiarach. Autor daje się poznać jako bezkompromisowy i niezłomny bojownik, zawsze gotów podjąć najtrudniejsze zadania. Pisze między innymi o tym jak walczył o Cytadelę i Poczta Główną, przyczynił się do ukrócenia wojskowej libacji w willi na Sykstuskiej, po czym w uznaniu zasług skierowany został do newralgicznego Sektora Bema (na III Odcinku obrony) z misją zaprowadzenia tam żołnierskiego ładu i dyscypliny. Jak twierdził, objął dowództwo lewego skrzydła i wslawił się atakiem zakończonym zdobyciem ulicy Wolność.

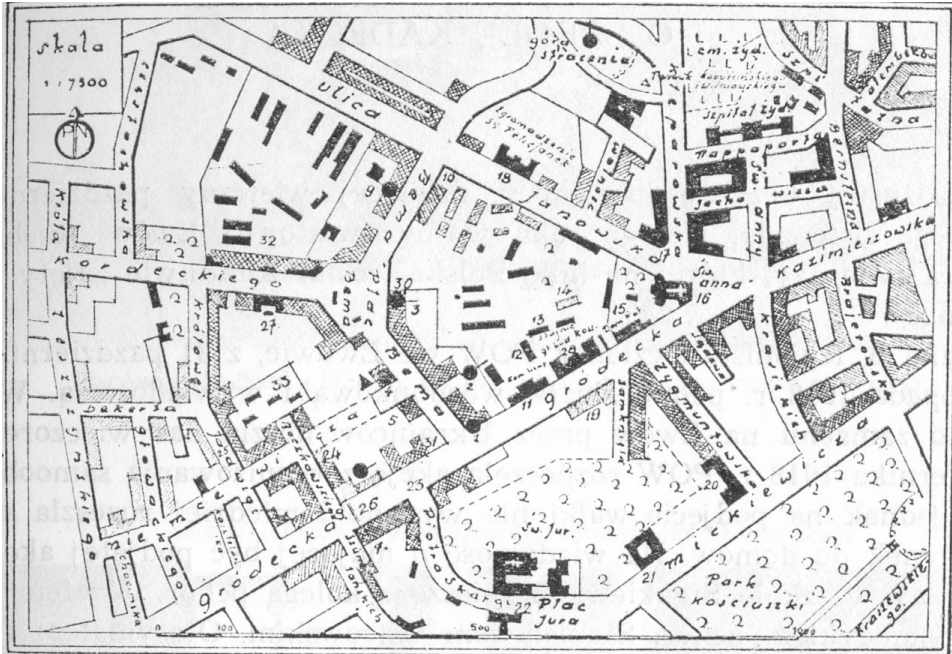
Notatki Andrzeja Pronaszki są z pewnością cennym przyczynkiem do jego biografii oraz uzupełnieniem opracowań historycznych i bogatej literatury pamięt-

¹ Tytuł nadany przez Jerzego Timoszewicza.

² M. Szydłowska, *Teatr Miejski we Lwowie u progu niepodległości (1918–1919)*, „Pamiętnik Teatralny” 2018 z. 3.

³ Ibidem, s. 113–114.

⁴ Ibidem, s. 115–116.



Plan Sektora Bema, Obrona Lwowa 1–22 listopada 1918, Lwów 1939, t. 2

nikarskiej poświęconej Obronie Lwowa. Wymagają jednak krytycznej lektury i konfrontacji z innymi źródłami. Odnosi się to na przykład do fragmentów dotyczących służby artysty w Sektorze Bema. Okazuje się, że jego dowództwa lewym pododdziałem nie potwierdzają żadne źródła, z fundamentalnym trzypięciowym wydawnictwem *Obrona Lwowa 1–22 listopada 1918* na czele. Z zamieszczonej tam ewidencji oraz świadectw komendanta Sektora – porucznika Schwarzenberga [Schwarzenberga]-Czernego i podporucznika Franciszka Jarzębińskiego, który komenderował prawym pododdziałem, wynika że pododdziałem lewym (ul. Janowska, Wolność, Kleparowska) dowodził chorąży Władysław Nekrasz, a po nim podchorąży Erwin Wolanek.⁵ Inny uczestnik walk w Sektorze Bema, sierżant Bogumił Rembowski, który zawiadywał jednym z pododdziałów lewego skrzydła, wspomina z kolei, że Pronaszko trafił właśnie do jego grupy. Relacja sierżanta z pierwszego spotkania z artystą przypomina nieco tę Schwarzenberga-Czernego. Czytamy w niej:

Zaopatrzwszy się w kilka paczek czekolady i papierosy, wróciłem po tej naradzie późną nocą na swą redutę, wzmacniając ją znowu nowymi ochotnikami.

⁵ *Obrona Lwowa 1–22 listopada 1918*, oprac. E. Wawrzukowicz i J. Klink, Lwów 1939, t. 1–3 (reedycja: Warszawa 1991–1994).

Byli to: Andrzej Promaszko [!], artysta malarz (dziś sławny dekorator scen stołecznych), olbrzym o marsowej twarzy, ujętej w ramę hełmu szturmowego, spod którego wystawał przeogromnych rozmiarów nos. Uzbrojony od stóp do głowy. (Bardzo trafnie, choć aż z nazbyt frywolnym humorem opisuje tę sylwetkę w swych wspomnieniach por. Czerny – porównując go do Don Kichota.)

Czegóż on nie dźwigał?

– Kompletny, chodzący był to arsenał. Miał więc bagnet, sztylet pruski polowy, szablę, potężny „Steier”, a od wypadku i „Gasser” czy „Nagan” rosyjski. Karabin systemu „Manlicher”⁶, kilka granatów, lornetkę, wprawdzie nie polową i bez futerału, ale teatralną, pięknie obkładaną tęczową inkrustacją. Miał też wielką skrzynkową latarkę elektryczną, aluminiową szalkę, taką manierkę przypiętą do pasa, kilka ładownic, futerał skórzany na mapy i płócienny, dobrze wypchany brązowy chlebak.

Czy nie dosyć groźnie, buńczucznie i zbrojnie?

Tylko taki olbrzym mógł to wszystko bez zmęczenia nosić dzień i noc, nie czując zupełnie ciężaru.

Rycerz tak groźny – miał jednak serce gołębia i może byłby w bardzo wielkim kłopotcie w razie nagłej potrzeby, może zbyt długo zastanawiałby się, czy godnym jest człowieka, by z którejkolwiek broni korzystać choćby dla osłony własnego tylko życia.⁷

Wspomnienie Rembowskiego pochodzi z 1935. W listopadzie następnego roku odbył się we Lwowie uroczysty Zjazd Bemaków. Pronaszko zatrudniony był wówczas w lwowskich Teatrach Miejskich, nie wiadomo jednak, czy wziął udział w spotkaniu. W wydanej na tę okoliczność jednodniówce *Sektor Bema*, w której znalazło się ponad trzydzieści świadectw byłych żołnierzy (i zapewne uczestników Zjazdu), brakuje nie tylko jego wypowiedzi, lecz także jakiegokolwiek wzmianki o nim we wspomnieniach towarzyszy walk.⁸ Nazwisko artysty, wraz z informacją, że był komendantem sekcji reflektorów, pojawia się jedynie w wykazie osób walczących w Sektorze Bema, zamieszczonym w wymienionej publikacji przez Franciszka Jarzębińskiego. Może to właśnie ta funkcja w pisanych po ponad trzydziestu latach pamiętnikach Pronaszki urosła do rangi dowództwa lewego skrzydła odcinka.

Jak widać, zawodziła autora pamięć, górę brała również chęć autokreacji. Na ostateczny kształt tych wspomnień miał też zapewne wpływ dramatyzm i groza sytuacji, którą nienawykły do żołnierskiego rzemiosła artysta mocno przeżywał i odczuwał, jakby to on sam był w centrum wydarzeń i decydował o ich przebiegu.

Ogłaszany tekst jest fragmentem wspomnień Andrzeja Pronaszki znajdujących się w zbiorach Muzeum Teatralnego. Nie wszedł on do książki *Zapiski scenografa* wydanej w 1976 przez Jerzego Timoszewicza⁹, gdyż – jak objaśniał we wstępie

⁶ Pistolet Steyr M1912 był przepisową bronią krótką armii austro-węgierskiej, podobnie jak rewolwer Gasser M1876, natomiast Nagant wz. 1895 był rewolwerem belgijskim, ale produkowanym głównie dla Rosji i na Rosjanach zdobywanym. Mannlicher M1895 to standardowy karabin austriacki.

⁷ B. Rembowski, *Jak mogę być rasistą?... Urywki wspomnień*, słowo wstępne O. Bujwid, Kraków 1935, s. 100.

⁸ *Sektor Bema*. Jednodniówka wydana staraniem Komitetu Organizacyjnego Zjazdu Bemaków, Lwów 1936.

⁹ A. Pronaszko, *Zapiski scenografa. Wspomnienia – artykuły – listy*, oprac. J. Timoszewicz, Warszawa 1976.

edytor – ograniczono wybór do tematów teatralnych. Oczywiście jest jednak, że ze względów cenzuralnych publikacja tekstów o Obronie Lwowa była za czasów PRL-u niemożliwa. Uwagi pracownika niegdysiejszego Urzędu Kontroli Prasy Publikacji i Widowisk nie uszłyby nawet wzmianka o walkach o polski Lwów. Ten ważny rozdział w życiorysie artysty jego zasłużony biograf i wydawca zamknął więc w krótkim, niedokończonym zdaniu: „Stała odtąd pracę zawodową w teatrze przerywa w 1918 r. epizod wojenny...”.¹⁰ Obecnie w miejscu wielokropka możemy zamieścić szczegółową relację z listopadowych wydarzeń.

Monika Chudzikowska, Mariola Szydłowska

OBRONA LWOWA

Moje niepowodzenia na froncie teatralnym zbiegły się w czasie z klęskami niemieckimi na wszystkich frontach. Alianckie uderzenia następowały jedno po drugim, okopy niemieckie we Francji kruszyły się, łamane czołgami amerykańskimi, Włosi, ku własnemu zdumieniu, bili Austriaków, Bułgarzy dostali w skórę w Macedonii od Francuzów, Turcy w Palestynie cofali się przed Anglikami, armie niemiecko-austriackie wycofywały się z Rosji na zachód, a wolność, jak wiatr gorący, przelatowała przez ziemie narodów ujarzmionych, rozpalając gorącymi podmuchami serca i wyobraźnię, przekształcając dawnych „poddanych” na obywateli własnych krajów.

W Warszawie Rada Regencyjna ogłosiła niepodległość Polski¹¹, a ludność prowadzona przez młodzież POW zaczęła rozbijać Niemców. Wolność! Dzięki tego rodzaju okolicznościom, moją własną klęskę na terenie lwowskiego teatru przyniosłem dość spokojnie. Oficjalnego wypowiedzenia umowy nie dostałem, jak również – sam go nie zgłosiłem. Ale – czując w teatrze chłód i wrogość oraz głębokie załamanie się Żelazowskiego¹², pakowałem powoli manatki, przenosząc je do Eminowicza.¹³ Zamyślałem opuścić Lwów. Nie będąc jednak pewny własnych finansów, wolałem nie mieć u siebie w mieszkaniu większego bagażu.

Któregoś dnia wyszedłem na miasto z zamiarem udania się do teatru. Zostało tam jeszcze coś niecoś do zabrania. Spozrzegłem, że na ulicach panuje niezwy-

¹⁰ Ibidem, s. 13.

¹¹ Rada Regencyjna proklamowała niepodległość Polski 7 X 1918, powołując się na 14 punktów prezydenta Woodrowa Wilsona, zaakceptowanych jako podstawa rokowań pokojowych przez państwa centralne.

¹² Roman Żelazowski (1854–1930) w sezonie 1918/19 był dyrektorem Teatru Miejskiego we Lwowie. Zaangażował Pronaszkę w sierpniu 1918.

¹³ Ludwik Eminowicz (1880–1946) poeta, przedstawiciel ekspresjonizującego nurtu Młodej Polski. Od 1903 publikował wiersze w czasopismach literackich, m.in. w „Maskach”, „Krytyce”, „Museumie”, „Nowym Przeglądzie Literatury i Sztuki”, „Rydwanie”. Podczas obrony Lwowa walczył na Odcinku V (Szkola Sienkiewicza).

czajnie mały ruch. Nieliczni przechodnie przemykali się trotuarami, spiesząc się i rozglądając na wszystkie strony, fiakry znikły już zupełnie z ulicy, a przeważna część sklepów miała zapuszczone żaluzje.

Spojrzałem na ratusz i oniemiałem. Z wieży ratuszowej zwieszała się, lekko falując na wietrze, żółto-niebieska chorągiew. Oczom nie wierzyłem! Chorągiew ukraińska na magistracie? Nie do zrozumienia! Nagle, zza rogu ulicy wyszło dwóch żołnierzy z bagnietami nasadzonymi na lufy karabinów. Gdyby nie czapki, nie zwróciliby na siebie niczyjej, a więc i mojej uwagi. Ale czapki, zbliżone na pierwszy rzut oka do polskich rogatywek, miały specjalny krój, bardzo dziwaczny, bo ozdobione były aż ośmioma różkami, a nie jak polskie czterema. Były to czapki „siczowników”.¹⁴

Stałem zdumiony, jak zdumieni byli również jacyś przechodnie znajdujący się nieopodal mnie. Zdumienie moje jeszcze się zwiększyło, kiedy żołnierze, znizywszy lufy karabinów, zaczęli rozpędzać ową grupkę przechodniów. Widziałem, jak ci się rozbiegli. Jeden z nich, uciekając, zderzył się prawie ze mną; chwyciłem go za ramię; krzyknął: – Wiej pan do domu! Lwów w rękach Ukraińców! Zawróciłem na pięcie i za chwilę skierowałem kroki do Eminowicza. Zastałem go jeszcze w domu. O niczym chłop nie wiedział.

Zamach ukraiński zaskoczył nie tylko ludność polską, ale i ruską. Dzielę tu ludność nie-polską, nadającą charakter całemu miastu, na dwie kategorie, a to zgodnie z tym układem stosunków, jaki istniał podówczas. Większość stanowili Rusini, w przeważnej swej części wyznania unickiego, którzy swój los wiązali ściśle z losem Polski i Polaków. Mniejszość ukraińską stanowiło ugrupowanie nacjonalistyczne, bratnie z takimże odłamek zza kordonu, dowodzoną przez Machnę¹⁵, Skoropadzkiego¹⁶, a później przez Petlurę¹⁷, sławnego pogromczyka Żydów.

Żydzi. Ludność żydowska miasta Lwowa dochodziła, a może nawet przewyższała jedną trzecią ogółu mieszkańców.¹⁸ W tym jednak momencie dziejowym

¹⁴ Legion Ukraińskich Strzelców Siczowych, ukraińska formacja ochotnicza utworzona w 1914, walcząca podczas pierwszej wojny światowej w składzie armii Austro-Węgier. Od 3 XI 1918 Strzelcy Siczowi brali udział w walkach we Lwowie.

¹⁵ Nestor Machno (1888–1934), ukraiński anarchista i rewolucjonista.

¹⁶ Pawło Skoropadzki (1873–1945), wielki właściciel ziemski pochodzący ze starego kozackiego rodu, generał ukraiński, hetman powstałego pod protektorem niemieckim Państwa Ukraińskiego od 29 IV 1918 do 26 XII 1918.

¹⁷ Symon Petlura (1879–1926), ukraiński polityk, w latach 1919–1926 prezydent Ukraińskiej Republiki Ludowej. Petlurowcy, zwłaszcza tzw. „kureń smerti”, dokonywali pogromów; w Płoskirowie i Tepliku zamordowano kilka tysięcy Żydów.

¹⁸ W 1910 we Lwowie mieszkało 21 033 (10,8%) Ukraińców, 105 469 (51,2%) Polaków obrządku łacińskiego i 39 314 (19,1%) grekokatolików (w tym 17 535 osób to również Polacy). 57 387 (27,8%) to mieszkańcy wyznania mojżeszowego oraz innych wyznań chrześcijańskich. Zob. G. Łukomski, Cz. Partacz, B. Polak, *Wojna polsko ukraińska 1918–1919. Działania bojowe – aspekty polityczne – kalendarium*, Koszalin-Warszawa 1994, s. 13.



Jerzy Schwarzenberg-Czerny, *Bemaki*, [Warszawa ok. 1936], okładka z grafiką Stanisława Brzeczkwowskiego

przyjęli postawę bierną – a więc znaleźli się na marginesie historii.¹⁹ Wyłączyli się z niej.

Eminowicza zastałem w łazience. Wypłoszyłem go stamtąd gromkim kołatanem do drzwi i w krótkich słowach opowiedziałem, co zaszło. Zjedliśmy szybko śniadanie i wyszliśmy na miasto zasięgnąć języka u znajomków, których Eminowicz miał we Lwowie moc nieprzebraną. Na mieście tymczasem rozlepiono afisze obwieszczające w języku ruskim manifest przejęcia miasta przez władze ukraińskie i – stan oblężenia.²⁰ W naszej pielgrzymce po znajomkach spotykaliśmy się z coraz to zmieniającymi się nastrojami. Chwilowe przerażenie przechodziło szybko w wzburzenie, a to ostatnie jeszcze szybciej w gniew. Gniew – to mało. Wściekłość! Bo i jakże? W Warszawie Piłsudski organizował już pierwszy

¹⁹ Po wybuchu walk we Lwowie Żydzi powołali własną milicję, którą dowodził kapitan Eisner. Ludność żydowska oraz milicja ogłosiły neutralność i wyłączenie swej dzielnicy z działań bojowych (de facto naruszane przez Ukraińców). 22 XI, po wycofaniu się wojsk ukraińskich, rozpoczął się na terenie dzielnicy żydowskiej trwający ponad dwa dni pogrom, w którym zginęło kilkudziesięciu Żydów, obrabowano sklepy, spalowano synagogę Beit Chasidim.

²⁰ Obwieszczenie o stanie oblężenia podpisał 1 XI mianowany przez Ukraińską Radę Narodową komendant miasta, ataman Dmytro Witowski.

rząd Rzeczypospolitej, rząd socjalistyczny pod przewodem Moraczewskiego.²¹ W Lublinie utworzył się również rząd pretendujący do rządzenia Polską, w którym, jak mówiono, zasiadał sam Daszyński z dodatkiem Rydza-Śmigłego.²² Dwa rządy to jak dwa grzyby w barszczu – trochę za dużo, ale ponieważ w stosunku do Rydza-Śmigłego Piłsudski był borowikiem, nikt się nie załamywał. Co borowik – to borowik! Dla mnie, jak również dla Eminowicza i wielu innych, ważne było, że rządy w powstającej do życia nowej Polsce obejmowali – socjaliści.

Jednocześnie – Ukraińcy lwowscy inne mieli cele na oku. Inspiratorem zamachu był nie kto inny, jak rozpadający się rząd austriacki, który, inspirowany ze swej strony przez Niemców, utworzył we Lwowie marionetkowy rząd polsko-ukraiński, przydzielając mu doskonale wyekwipowane we wszelki sprzęt wojenny ruskie dywizje dowodzone przez austro-niemieckich oficerów. Powstawało – jak mówiono – małe państewko buforowe, rządzone przez jednego z Habsburgów, który otrzymał już nawet, czy przybrał sobie nawet nazwę Wasyla Wyszywanego.²³ Ten Wasyl Wyszywany doprowadzał wszystkich do szału.

Habsburgów – po tylu straszliwych klęskach, jakie sprowadzili na wszystkie podległe im narody – nienawidzono powszechnie, a tu – nowy Habsburg – i to siczownik! Tego już nikt nie mógł przetrwać. Zaczęły się liczne, coraz gromadniejsze zebrania i pogawarki Rodaków, by w końcu, a wszystko to razem nie zajęło więcej niż parę dni czasu²⁴, doprowadzić do jakiegoś walnego zebrania w sali którejś ze szkół czy jakiejś innej instytucji.

Zebranie było – „konspiracyjne”. Na czym polegała jego „konspiracyjność” nikt nie wiedział, ponieważ każdy mógł na nie wejść bez najmniejszych trudności. Kontrola przy drzwiach była prawie żadna. W jaki sposób mogło się ono odbyć bez wiedzy i interwencji „nowych władz” – naprawdę trudno odgadnąć. Ale się odbyło. Późnym popołudniem lub wczesnym wieczorem.

Nie byłem na nim do końca. Niekończące się przemówienia rozmaitych gadułów, wysuwających coraz to nowe obawy, coraz to nowe trudności, wyrzucających z siebie coraz to nowe hasła patriotyczne, ale bez pokrycia, afiszujących się i zapewniających o swej ofiarności – cóż z tego, kiedy z „podtekstu” przebijał

²¹ Gabinet premiera Jędrzeja Moraczewskiego powstał dopiero 17 XI 1918, Pronaszko przywołuje tu więc i miesza wydarzenia przyszłe w stosunku do czasu relacji.

²² Tymczasowy Rząd Ludowy Republiki Polskiej pod przewodnictwem Ignacego Daszyńskiego, utworzony został w Lublinie 7 XI 1918 przez działaczy lewicy niepodległościowej. Po powrocie Piłsudskiego z Magdeburga rząd ten podał się do dymisji 11 listopada, nigdy więc nie było dwóch rządów na raz. Edward Rydz-Śmigły otrzymał w rządzie Daszyńskiego tękę ministra wojny.

²³ Wilhelm Habsburg (1895–1948), arcyksiążę austriacki, syn Karola Stefana Habsburga z Żywca, nazywany przez Ukraińców Wasylem Wyszywanym od ludowego stroju ukraińskiego, w którym się pokazywał. Po podpisaniu traktatu brzeskiego (3 III 1918) dowodził tzw. Grupą Wilhelma Habsburga na Wołyniu, mającą stanowić załążek armii ukraińskiej. Grupę rozwiązano jednak na początku października 1918.

²⁴ Obrona Lwowa rozpoczęła się natychmiast po zamachu ukraińskim, rankiem 1 XI 1918, samorzutnymi działaniami zbrojnymi oddziałów ze Szkoły Sienkiewicza i Domu Techników. Opowieść Pronaszki o wahaniach Polaków, czy w ogóle podjąć walkę, nie ma pokrycia w rzeczywistości.

się strach o własny skalp, wszystko to razem stawiało sprawę zbrojnego ruchu z naszej strony pod znakiem zapytania. Niezdecydowanie zawsze grozi klęską. Uświadomiwszy sobie tę prawdę – bardzo się przeląknęłam. Mieli rację Spartanie, że strach jest czynnikiem bardzo konstruktywnym. Bez jego bowiem opanowania – nie ma bohaterstwa. Postanowiłam rzucić na wahające się szale ochoty bojowej i strachu swój własny głos. Przemawianie na wielkim zebraniu, przed aulą zapełnioną nieznanymi mi ludźmi, i, co najważniejsze, na tematy tak odległe od codziennych moich zainteresowań, było dla mnie wyczynem bohaterskim. Jedną z cech mego charakteru była – nie tyle może nieśmiałość – co stale rządzące mną wątpliwości w celowość dyskusji na wielkich zebraniach i, co gorsza, w bezwzględność słuszności zajmowanego przez siebie samego stanowiska. Nurtowało mnie zawsze przypuszczenie, że strona przeciwna, mimo zadziwiania mnie nielogicznością wyrażanych przez siebie poglądów, opierała się jednak nie na pozornej, ale rzeczywistej, chociaż może częściowej prawdzie, którą warto było odkryć i zestawić z częścią przeze mnie reprezentowaną. Utrudniało to wielce obronę moich własnych poglądów, zwłaszcza, że dyskutantom chodziło przeważnie nie o dojście do prawdy, lecz o przeprowadzenie własnej tezy, obronę własnej racji. Musiałem też przełamać bardzo silny opór wewnętrzny, aby podejść do stolika przydzielonego i zabrać głos. Nie mogłam jednak postąpić inaczej. Poprzednio przeprowadzone rozmowy ze znajomkami Eminowicza i z nim samym, sala zatłoczona podekscytowanym tłumem mężczyzn, jakaś groza, która aż tu przywiała z ulic opanowanych siczownikami [!] stwarzała konieczność znalezienia i zajęcia jakiegoś własnego, zdecydowanego stanowiska wobec wypadków, jakie mnie zaskoczyły. Stwierdziłam więc na wstępie, iż rozumiem doskonale, w jak trudnym położeniu znalazła się polska ludność Lwowa, kiedy los postawił ją nagle, bez broni w rękę, w obliczu dobrze uzbrojonych wojsk nieprzyjacielskich, jak trudną rzeczą jest powzięcie decyzji, która zadecyduje przecie o losie najbliższych, ale, dodałam, nie mogę zrozumieć, jak ludzie poważni mogą tracić swój czas na tak długie i, obawiałem się, bezpłodne dyskusje. Sprawa jest jasna. Trzeba wybrać pomiędzy walką lub kapitulacją. Jeżeli walka – cały czas, a dużo go nie ma, musi być poświęcony przygotowaniu do niej. Jeżeli kapitulacja – to lepiej pójść spać, a nie tracić czasu na szukanie słów pokrywających brak odwagi.

Na sali zaległa cisza, a ja wycofałam się na dawne miejsca na tyłach sali, przy drzwiach. Tu dopadł mnie Eminowicz. – Za czym jesteś? – zapytał. – Nie wiem! – odpowiedziałam z westchnieniem. Nie jestem lwowianiną. Niech o losach swego miasta decydują rodowici lwowianie. – No, skoro nie wiesz, rzekł Eminowicz – to chodźmy do domu. Szkoda tracić czas na tych dziwnych konspiratorów! – Wyszliśmy. Ulice oświetlone wszystkimi latarniami, ale wymiecione z ludzi, stwarzały nastrój miasta opuszczonego przez mieszkańców. Wrażenie to potęgowały nieoświetlone okna i pozamykane bramy domów. Z dala dolatywał stuk podkutych butów lub szelest cichych, skradających się kroków zapóźnionego przechodnia. Czasem rozległ się daleki strzał karabinowy.

Gdyby znalazł się wówczas we Lwowie obywatel neutralnego państwa, sprowadzony przez Ukraińców jako świadek objęcia przez nich rządów, zdumiałby się, że miasto, które uważają za własne, nie jest iluminowane, że ulic nie zalega tłum rozentuzjasmowanej publiczności, witającej swych wybawicieli, a, przeciwnie, wieje zewsząd groza, jaka towarzyszy zazwyczaj miastu okupowanemu przez obce wojska. Nastrój panujący w mieście, widok wyludnionych ulic, posterunki wojskowe, przechodzące ulicami, zszokowane własną obecnością w obcym sobie, pustym mieście, wprawiać musiały każdego w głębokie przekonanie, że miasto zajęte zostało przez obcą przemoc, niepewną dodatkowo własnych sił. Wrażenie to było nie do odparcia.

Ja i Eminowicz, rozglądając się ostrożnie na każdym skrzyżowaniu ulic, trochę kołując, aby ominąć przechodzące „wachy”²⁵, dotarliśmy bez przeszkód do jego mieszkania. Postanowiwszy rozważyć dokładnie nowy stan rzeczy, jaki zaistniał, i nasze własne stanowisko, jakie powinniśmy zająć w tej niecodziennej sytuacji, uważaliśmy, że rozmowy na te tematy nie możemy odkładać na dzień następny. Czas nagił. Trzeba się było jakoś ustosunkować – aktywnie lub biernie.

Monarchia austro-węgierska rozsypywała się w naszych oczach i jasnym było, że wszystko, co się z nią wiąże, nie może mieć szans życia. Nacjonałści ukraińscy, którzy postawili na Habsburgów, skazani byli z góry na przegraną. W ten czy inny sposób prawa rządzące historią zetrą ich z powierzchni ziemi. W Warszawie organizowało się demokratyczne państwo polskie. Zarodek wojsk narodowych istniał już od dawna. Stworzenie silnej armii z ludności tego charakteru jak Polacy, mający we krwi zapal bojowy, nie przedstawiało wielkich trudności. Wydawało się więc, że powzięcie decyzji, jak się ustosunkować do ukraińskiego zamachu, było powinnością rządu polskiego, a nie naszą własną. Poza tym – sprawa niewątpliwie dużej wagi – czy my dwaj bardziej będziemy przydatni Polsce jako artyści, czy jako żołnierze?

Obaj byliśmy głęboko przekonani, że więcej mamy do powiedzenia w sztuce niż w wojaczce. Po tym stwierdzeniu nie pozostawałoby nic innego, jak czas krytyczny przesiedzieć w domu, gdyby nie jedno „ale”. Kto, w wypadku zagrożenia własnej ojczyzny, ma prawo czuć się zwolniony od obowiązku zgłaszania się na ochotnika do walczących szeregów? Jedni – mają rodziny, żony i dzieci, którymi się muszą opiekować. Drudzy – stare matki, ojców lub dziadków, których nie mogą pozostawić samych na los szczęścia. Inni posiadają mieszkania pełne drogocennych antyków, które przecież powinny być dozorowane, aby kiedyś, kiedyś, ale kiedyś niewątpliwie – dostać się do muzeów narodowych. Są jeszcze tacy, którzy sami, w własnym przynajmniej przekonaniu, wytwarzają „bezcenne” przedmioty sztuki, bez których Naród, kto wie, może schamiałby doszczętnie. I może stałoby się tak naprawdę. Ale – kto w takim razie ma stanąć w obronie wolnej ojczyzny, kiedy synowie i mężowie pozostali w domu, aby

²⁵ Straże.

bronić – w jakiś sposób bronić przed wrogiem – własnych dzieci, matek, skarbów sztuki i – wolności tworzenia? Nikt? Garstka entuzjastów, jak w powstaniach – i, poza tym, nikt?!

Przegadałem z Eminowiczem całą noc. Nad ranem postanowiliśmy, że jeżeli ludność polska chwyci za broń, wstąpimy bez dalszych już wahań do walczących szeregów. Trudno. Śmierć to śmierć. Ale lepiej już umrzeć, niż żyć w przeświadczeniu, że utrzymujemy się przy życiu za cenę wykpienia się z podstawowego obywatelskiego obowiązku. Poza tym – dlaczego zaraz mamy umierać? – A może... – tu Eminowicz przerwał, nucąc refren lwowskiej piosenki „A może uda się, że wrócę zdrow, i zobaczę znowu miasto Lwów!”²⁶

Wczas rano – piliśmy właśnie herbatę – wpadł bardzo podniecony jeden z przyjaciół Eminowicza z wiadomością, że coś się zaczyna, że nie wie jeszcze dokładnie kto i gdzie, ale zna już miejsce, gdzie wydają broń. Tam jednocześnie informują, dokąd należy się udać dalej, gdzie jest, jednym słowem, punkt zborny tych, co pragną walczyć o Lwów! Eminowicz trochę przybladł, ale powiedział – chodźmy! W pół godziny później przekroczyliśmy jakąś bramę, weszliśmy na jakieś podwórze i zastukaliśmy do jakichś drzwi. Otworzono. Znaleźliśmy się niebawem w jakichś magazynach czy warsztatach fabrycznych, dokładnie nie pamiętam, gdyż od chwili wyjścia z domu całą uwagę skupiłem na niespokojnym rozglądaniu się wokół, gnębiony obawą przedwczesnego pochwycenia nas przez którychś z ukraińskich patroli. Było ich pełno. Ale nic się nie stało, nikt nas nie zatrzymał i oto staliśmy przed kimś, kto bacznie się nam przyglądał. Z tego, co mówił do nas, niewiele pamiętam. Podczas przemowy starałem się, chcąc zlustrować podwórko, przebić wzrokiem zakopconą szybę okienną. Nie bardzo mi się to powiodło. Z tego, co mówił, utkwilo mi w pamięci jedynie to, że broni miał minimalną ilość. Nie mógł nią każdego z nas obdzielić. Na zakończenie położył na stole stary bębnekowy rewolwer i trochę naboju, po czym dodał: Rewolwer znosi na prawo. Ale to nieważne. Pamiętać natomiast należy, że nasi zbierają się w szkole Sienkiewicza.²⁷ Tam się musicie przedostać, ale własnym przemysłem i najlepiej – każdy z osobna.

Eminowicz wziął rewolwer, schował go wraz z nabojami do kieszeni, powieździeliśmy: „Cześć!” i wyszliśmy. Przeszliśmy kawałek drogi wszyscy razem, po czym – postanowiliśmy – ja z Eminowiczem – podjąć wspólną próbę przebicia się. Stało się tak z mojego powodu. Będąc na świeżo we Lwowie, nie poznałem jeszcze miasta na tyle, aby trafić do szkoły, o której istnieniu teraz dopiero się dowiedziałem. Przyjaciel Eminowicza poszedł osobno i niebawem straciliśmy go z oczu – na zawsze.

²⁶ Bardzo popularny we Lwowie anonimowy utwór, znany jako *Marsz lwowskich dzieci* (*W dzień deszczowy i ponury...*), do melodii z operetki Leo Falla *Księżniczka dolarów*.

²⁷ Szkoła Powszechna im. Henryka Sienkiewicza przy ul. Dunin-Borkowskich 23 (róg Polnej) była pierwszym, obok Domu Techników przy ul. Issakowicza, punktem polskiego oporu. Załoga Szkoły Sienkiewicza pod dowództwem kpt. Zdzisława Tatara-Trześniowskiego rozpoczęła walkę o Lwów.

Przejsć nie było łatwo. Ulice, zaułki i bramy wielu domów obstawione były zmieniającymi się ciągle posterunkami, a, oprócz nich, patroli bez liku. Nic też dziwnego, że pierwsze nasze usiłowania przedostania się na miejsce zbiórki – spaliło na panewce. Nie udało się. Trochę zmęczeni, mocno podenerwowani długim kołowaniem i źli – nie wiadomo na kogo – na Ukraińców, na siebie, na zły los wreszcie – zatrąbiliśmy do odwrotu i przespaliśmy noc w mieszkaniu Eminowicza. Wyszliśmy z niego następnego dnia, rankiem. Poszliśmy wprost przez środek miasta. Skręciliśmy w Sykstuską, minęliśmy Politechnikę i idąc coraz śmielej naprzód, natknęliśmy się na bramę, z której wyskoczył nagle jakiś żołnierz ukraiński.

Witold Bunikiewicz²⁸, który nie brał udziału w obronie Lwowa, napisał w parę lat po tej wojnie utwór, który nazwać by można chyba „poematem humorystycznym”. Utwór miał tytuł *Jak to Andrzej Pronaszko na Rusiny chadzał*.²⁹ Niewątpliwie Bunikiewicz w poemacie tym był sobą. Natomiast ja w nim byłem kimś zupełnie do siebie niepodobnym; zostałem tam przedstawiony jako jakieś przedziwne, nienaturalne skrzyżowanie Don Kichota z Sanczo Pansą, po matce Bunikiewiczównie rodem. Bunikiewicz jako autor upodobił się w swoim poemacie do owego brygadiera teatralnego, który, zapytany przeze mnie, dlaczego stawia zawsze krzywo dekoracje, powiedział: „Aby było śmieszniej”. Wszystko w tym „poemacie” było dziwolągowato powykręcane, a wskutek tego nie tylko nieprawdziwe, ale i nieprawdopodobne.

Przede wszystkim nie chodziłem nigdy na „Rusinów”, gdyż widziałem w nich swych przyjaciół, a nie wrogów. Prawdą było natomiast, że przełamując w sobie „opory przeciwwojenne”, chwyciłem za broń, przeciwstawiając się czarnej reakcji i terrorowi, jaki na swych bagnietach nieśli nacjonałiści ukraińscy. Następnie, jak mi Bóg miły, nigdy żadnego „Iwana” w potyczce wręcz nie ukatrupiłem, jak również nie wybrałem się na wojnę w celu rabowania wagonów towarowych, ładowanych jabłkami. Ale mniejsza o jabłka! Jak to więc było z tym rzekomo powalonym przeze mnie „Iwanem”? Żołnierz, który wyskoczył z bramy, wystraszony był więcej od nas samych. Zeszedł był właśnie z wyznaczonego posterunku, a usłyszawszy z nagła kroki, przypuszczał, że to nadeszła jego władza. Kiedy

²⁸ Witold Bunikiewicz (1885–1946), prozaik, poeta, komediopisarz, krytyk artystyczny, tłumacz. W czasie pierwszej wojny światowej w wojsku austriackim. Ranny pod Lublinem w 1914, do końca wojny przebywał w Pradze. Uczestnik wojny 1920. W II Rzeczypospolitej prowadził dział krytyki artystycznej w „Kurierze Warszawskim”. W latach 1920–1921 redaktor pisma artystyczno-literackiego „Ponowa”. Autor zbiorów wierszy, m.in. *Wiosna* (1911), utworów scenicznych, opowiadań i powieści. 6 XII 1918 Teatr Wielki we Lwowie pokazał *Piosnki ulańskie* Bunikiewicza (prem. 15 III 1918), ale kolejne przedstawienia zawieszono z powodu braku prądu. Bunikiewicz recenzował prace plastyczne Pronaszki, prezentowane na I Wystawie Formistów Polskich („Kurier Warszawski” 1920 nr 142). Do tomu *Ballad* wydanych w 1920 we Lwowie Pronaszko zaprojektował okładkę.

²⁹ Utworu o takim tytule nie udało się odnaleźć (nie notuje go *Bibliografia polska 1900–1939*). Ciekawostką jest natomiast napisany przez Bunikiewicza humorystyczny *Rycerz śmierci, poemat ogromnie bohaterki w 10-ciu pieśniach* („Naokoło Świata” 1930 nr 72 i nadbitka), którego bohater, Kasper Dyrdaszko, malarz-futurysta walczy o Lwów z bolszewikami. Tekst oraz ilustracje Mariana Walentynowicza wskazują na to, że pierwowzorem Dyrdaszki był Andrzej Pronaszko.



Szkoła Sienkiewicza – wejście, 2019. Fot. J. Komorowski

zobaczył jakichś cywilów – odetchnął z ulgą. Był to chłopak wyrwany poborem z zapadłej wsi, który już miał wojny powyżej uszu.

– Oj, Wasyl, Wasyl – powiedziałem, połączywszy jakoś osobę żołnierza z królującym mu Wasylem Wyszywanym. Szczo z tebe bude?

– Oj, pane, pane! – zaczął się skarżyć Wasyl, bo tak się zdarzyło, że odgądnęłam jego imię – szczo ja zrobił, szczo mene do domu ne puskajut! Wasyl omal nie płakał. Wśród łez, które nie pociekły mu z oczu tylko dlatego, że je połykał, ostrzegł nas jeszcze, żeby dalej nie iść, bo tam „Lachy strylajut!” – Szczo meni Lachy – odparłem – lekceważąco machnąwszy ręką. Ne baczył ja Lachiw?! – wyrecytowałem zgodnie z prawdą i poszedłem dalej. Za mną – Eminowicz. Trochę niepewnie, bo bałem się mimo wszystko strzału w plecy, skręciliśmy za róg kamienicy i weszliśmy w przecznicę. Jeszcze parę kroków i oto zatrzymał nas posterunek polski.

Żołnierzyk, dzieciak zupełny, przekazał nas natychmiast następnemu, a ten oficerowi rezydującemu w bramie. Oficer, miły chłopak, przepytał nas, wylegi tymował, obejrzał rewolwer bębenny, pokiwał głową i kazał iść dalej. Szkoła Sienkiewicza widna już była jak na dłoni. Jeszcze jeden czy dwa posterunki i oto znaleźliśmy się w hallu.

Przyjęto nas z entuzjazmem. Ochotników było niewielu, gdyż do szkoły Sienkiewicza przedostać się nie było łatwo. Wśród oficerów, którzy nas otoczyli, oglądając nas jak cenną zdobycz czy relikwię, znalazł się dawny znajomy Eminowicza. Wziął nas od razu pod swój zarząd. Organizował właśnie tak zwane „treny”.³⁰ Eminowicz, który cały czas wojny zajmował się, oprócz pisania wierszy, handlem, był dla owego oficera nie lada zdobyczą. Jasne było, że zaprowiantowanie oddziału odbywać się będzie bez zarzutu. Ja wolałem być żołnierzem liniowym. Tych zresztą najbardziej brakowało. Zaszczycono mnie też od razu karabinem, pasem z ładownicą oraz nabojami i oddano w ręce kaprała. Karabin był rosyjski. Z jego łatwym zresztą mechanizmem byłem już nieco obznajomiony, gdyż z takim samym spotkałem się niegdyś w domu mego stryja – pułkownika. Kaprał, przekonawszy się naocznie, że potrafię ładować i rozładowywać karabin, zaprowadził mnie do wielkiej sali, której okna wychodziły właśnie na tę ulicę, z której przyszedłem. Sala posiadała kilka wysokich okien, pod którymi stały poprzysuwane do ściany stoły i ławy szkolne. Na kilku stołach leżeli żołnierze, oparłszy karabiny na worach z piaskiem, rzuconych na parapety okienne. Kaprał wskazał mi jedno z wolnych okien, gdzie też natychmiast się ułożyłem. Widok z okna był rozległy, ale nie interesujący. Z prawej widać było ulicę, z lewej jakieś bezładnie porozrzucane magazyny, zasłaniające sobą ogrody lub parki. Tu był właśnie punkt newralgiczny naszego odcinka, który kazano mi pilnie obserwować. Strzelać jednak zakazano, chyba – w ostateczności.

Leżąc, rozpatrywałem się w nieznanym sobie terenie, i kalkulując, skąd mógł ukazać się nagle nieprzyjaciel, brałem na muszkę karabinu ewentualne punkty jego wypadu.

Tak zeszedł dzień – ale nieprzyjaciela nie było widać. Zapadł wieczór. Kontury drzew zamgliły się, wchłaniając powoli w siebie budynki magazynów i narożnika ulicy, mrok gęstniał, okrywając sobą nawet najbliższe naszym oknom słupy wygaszonych już tej nocy lamp łukowych, widoczność zmalała do muszki karabinu i trzeba było dobrze nerwy trzymać w garści, aby nie pociągnąć za cyngiel, paląc bezładnie w tajemnicze mroki. Wszedł kaprał. Poprzednio już słychać było za nami przytłumiony hałas obcasów uderzających o stopnie schodów, szczęk broni, przyciszone głosy, urywane śmiechy i słowa komendy.

Zbiórka. Zerwaliśmy się ze stołów i stanęliśmy w hallu. Stąd wyszliśmy na ulicę. Rozwinięci w kilka tyralier posuwaliśmy się cicho naprzód, prowadzeni przez oficera, z towarzyszącym mu sierżantem. Ja szedłem w pierwszej tyralierze. Skręciliśmy niebawem w prawo i zaczęliśmy schodzić w dół. Cisza była straszliwa. Nagle zatrzymaliśmy się. Podszedł do nas sierżant. – Patrol na ochotnika! – powiedział cicho. Diabli nadali! – pomyślałem sobie. Ale trzeba być konsekwentnym. Wystąpiłem naprzód. Za mną paru jeszcze żołnierzy. – Zbadać teren przed nami. Rozdzielić się. Wy – wskazała na mnie – na lewo; wy na wprost; wy na

³⁰ Tabory wojskowe, tu: zaopatrzenie.

prawo. Strzelać tylko w ostateczności. Zachowywać ciszę bezwzględna! Tak jest! – odpowiedzieliśmy zgodnie i poszliśmy, każdy w wyznaczonym kierunku. Jak się okazało, przecinała nam drogę któraś z przecznic. Konia z rzędem temu, kto by co widział w tych egipskich zaiste ciemnościach! Ja w każdym razie szedłem na oślep, jakbym miał oczy przewiązane czarną przepaską.

– Czort mnie tu przyniósł – pomyślałem sobie i skrzyłem za róg kamienicy. Poczułem się nagle dziwnie osamotniony. Narożnik jakby przeciął nożycami nici wiążące mnie dotychczas z oddziałem. Rozejrzałem się. Po drugiej stronie ulicy majaczyła jakaś nierealna budowla, a za nią – parkan? Drzewa? Mury? A diabli wiedzą. Nie ma co! Trzeba zbadać! Posunąłem się parę kroków ku owej majaczącej budowli. Nagle – jakiś kształt ludzki zamajaczył w ciemności, poruszył się i przypadł do ziemi. Serce zabiło mi w piersi. Stać! – krzyknąłem zduszonym głosem – Ręce do góry! – I skoczyłem naprzód. Tu załomotało coś w mrokach, rozległ się brzęk jakby żelaza, coś chlupnęło, jakby wodę wylano z wielkiej kadzi – ale oto już bagnet trzymałem przy brzuchu jakiegoś dziwnego potworka, który wydawał ciche jęki, płaczkliwie skomlać.

Ręce mi opadły a brzuch, tym razem mój własny, zatrzęsł się w spazmach, ale nie w spazmach płaczu, lecz potwornego, histerycznego śmiechu. Cofnąwszy rękę zbliżyłem twarz do ledwo świecącej twarzy potworka. Przede mną, w kałuży rozlanej wody, stała wystraszona babina. Obok, w rynsztoku, leżało przewrócone wiadro. Tajemnicza budowla była studnią. Babina, dowiedziawszy się, że jestem Polakiem, objęła mnie za kolana i rozgadała się na dobre. Dowiedziałem się, że Ukraińcy tu byli, ale odeszli i ani śladu już po nich nie zostało. W trakcie pogawędki pomogłem babinie nabrać wody i wróciłem do swoich. Poszliśmy dalej. Droga była właściwie zupełnie wolna.

Trochę strzelaniny i oto znaleźliśmy się w szkole św. Magdaleny.³¹ Ostre walki rozszalały się w kilku dzielnicach miasta, czy raczej na kilku odcinkach naszej dzielnicy. Najbliższym zadaniem mego oddziału było podeprzeć oddziały szturmujące Poczta i Cytadelę.³² Niezapomniane chwile – wszystkie zresztą pozostały mi jak żywe w pamięci – tam właśnie przeżyłem.

Późną nocą lub wczesnym bardzo rankiem zerwano mnie z ławy szkolnej, na której zaledwie co się ułożyłem. Oddział w całości już zebrał się przed budynkiem szkolnym. Ja zasnąłem. Nic dziwnego. Wszyscy byli straszliwie zmęczeni i zasnęli. Noc była zimna, ciemna i, jak się zdaje, mżył drobny, ale gęsty deszczyk. Rozległa się komenda i oddział ruszył w nieznaną. Schodziliśmy w dół. Zakazano rozmów. Rozeszło się już w szeregach, że zostaliśmy wyznaczeni do ataku na Cytadelę.

³¹ Szkoła Powszechna św. Marii Magdaleny (róg ul. Potockiego i Sapiehy) była siedzibą komendy Odcinka II (Marii Magdaleny) i miejscem ostrych starć.

³² Poczta Główna przy ul. Słowackiego, róg Kopernika. Cytadelę zbudowali Austriacy w latach 1852–1854 na górze Kaleczej, zwanej też górą Wronowskich. Poczta i Cytadela były ważnymi punktami walk.

Ciemno było – choć oko wykol. Zimno – jak diabli! I straszno. W pewnym momencie dreszcz mi przebiegł po plecach: któryś z żołnierzyków, młody chłopaczek, bardzo nerwowy, idący tuż przy mnie, załamał się psychicznie i mało tego, że trząsał się cały w paroksyzmach febry, ale dodatkowo kłapał straszliwie zębami. Zająłem się nim. Chłopak gołnał wódki, zakrzuszył się, otarł usta i roześmiał się. Cholera! – szepnął. To mnie wzięło! A, no! – odpowiedziałem. Bywa tak czasem! Szliśmy dalej. Zatrzymaliśmy się tuż przed otokiem Cytadeli. Uczciwie był wysoki! Na szczycie wzgórza majaczyły czarną sylwetą na tle jaśniejącego już trochę nieba ceglane mury starej austriackiej twierdzy. Jak taką cholera zdobyć? – myślałem. – Żeby nasi wywalili armatą jaką dziurę w murze – to jeszcze! Podążając pod mur jest gdzie się kryć, bo stok gęsto obrośnięty drzewami... Ale jak przeleźć przez mur? Cholera!...

Tymczasem zaczęło świtać i nagle nastąpił odwrót. Dlaczego?! Okazało się, że armata, która miała nam otworzyć przejście – zacięła się i trzeba było ataku poniechać.

– No, chwała Bogu! – pomyślałem. – Z moim wzrostem? Na takich długich nogach jak moje ganiać po stromym stoku, to pewna śmierć! Ale głośno powiedziałem co innego: „Dobra jest żołnierska sława, ale lepsza jeszcze austriacka kawa!” Niewybredny żart podobał się bardzo, ale i bez niego dostaliśmy w kantine wrzątek z domieszką cykorii i po dużym kawale chleba z marmoladą.

– „Jak to na wojence ładnie” – zaśpiewali wszyscy chórem, po czym zamilkli nagle, gdyż wszedł nasz dowódca z sierżantem pod pachę. Coś zapachniało niedobrze. Żołnierze w mig się zorientowali i chórem krzyknęli – „My chcemy spać!” – Przeszedłem właśnie – odpowiedział oficer – żeby was wszystkich ułożyć do snu. Wszyscy pójdą do odwachu pod pocztą – a na wieżę u Magdalenki³³ ... na ochotnika – dwóch! Wystąpiłem naprzód, a za mną ów szczeniak, który kłapał zębami. – Dobra – odpowiedział oficer i powierzył nas sierżantowi, a ten znów kapralowi. Łańcuszek hierarchii wojskowej musiał być zachowany.

Cały dzień spędziłem na wieży, dezorganizując ciągłą strzelaniną ruch na Cytadeli. Pod koniec dnia odpowiedziano mi stamtąd ogniem karabinu maszynowego; aż drzazgi poleciały z wiązania dachu! Kurz z odlatującego tynku zasypał mi oczy i okrył chmurą szczyt wieży. Trzeba się było chwilowo wycofać! Zabrawszy z sobą mego kłapizęba, a ten amunicję, zeszliśmy o piętro niżej.

Okrutnie zgrzany i niesamowicie głodny usiadłem na schodkach i zapaliłem papierosa. Dym unosił się lekkim łukiem, to znów skręcał się w spiralę, nasuwając przed kierowaną wygłodzonym brzuchem wyobraźnię, dzięki pewnej podobności kształtów, sznury kiełbas, wiązki parówek, a nawet marmurkowaty mięsz salcesonów. Być może, że dym papierosa, przetykając się trochę pyłem tynku i promieniami zachodzącego słońca, rzeczywiście przypominał nieco salceson lub niebo zaczerwienione zachodem, a przetkane fioletami chmur, na których tle

³³ Kościół św. Marii Magdaleny, ul. Sapielhy.

znalazły się białe tynkowane ściany chałup. O ile jednak dobrze pamiętam, dym z papierosa starał się upodobnić nie do nieba, a do salcesonu. Do tego wyobrażenia fantazja dodawała jeszcze wielką kromkę chleba razowego, grubo masłem nasmarowanego, no i szklanicę mocnej herbaty. Przedtem – kąpiel. Potem – łożko. Ha! Nic z tego! Na dole słychać było czyjeś kroki i zamiast salcesonu zjawił się sierżant, z skórą twarzy w rodzaju ementalera, wycofując mnie z zajmowanej dotychczas placówki. Marzenia prysły... Pozostała jednak nadzieja na chleb bez masła, na kawę bez kawy i na szkolną ławę zamiast łożka. Dobre i to! Ale i to się nie ziściło. Brakowało ludzi i przerzucono mnie z miejsca na odcinek pod pocztą. Ze mną mego kłapieżba.

Zgłosiłem się do dowódcy. Ujrzawszy mnie odetchnął głęboko. – Nareszcie! Nareszcie ktoś przyszedł! I rzucił mnie i mego kompana do pierwszej linii. Znajdowała się ona za narożnikiem którejś z kamienic. Tam, na trotuarze leżało parę worków z piaskiem. Za nimi krył się strzelec z lufą karabinu wymierzoną w pocztę. Kilku żołnierzy siedziało przy narożniku, odbierając od leżącego karabin wystrzelony i podając natychmiast na jego miejsce nowy, przed chwilą nabity. W ten sposób ogień zza worków szedł bez najmniejszej przerwy. W pierwszym momencie strzelec zza worków wołał głosem ochryplym: – Dość! – Na to krótkie słówko odrywał się od narożnika któryś z siedzących żołnierzy, pełzną, zachodził strzelającego od tyłu i kiedy już był przy workach, zajmował jego miejsce. Spostrzegłem, że zmiany następują bardzo szybko. Dziwiłem się – dlaczego? Ale właśnie wypadła kolej na mnie. Pełzną, słyszałem całkiem już wyraźnie warcotliwy gwizd kul przelatujących mi tuż nad głową. Nasza pozycja znajdowała się pod ostrym ogniem nieprzyjacielskim. Gwizd kul, gdy siedział za narożnikiem, wydawał mi się mniej dotkliwy. Tu leciały jak rój rozszluszczonych bąków. Podpełzłem wzorem poprzedników do worków, chwyciłem podsunięty karabin i otworzyłem ogień. Strzelając z następnego, poraziło mi oczy jaskrawe, białe światło, które nagle rozlało się po całej ulicy. – Kryj się! – krzyknął jakiś głos obok i w tejże chwili rozległ się klekot licznych kul, obsypujących tynk z narożnika, tuż nad moją głową. Ulica jasna była jak w dzień. Załoga poczty wyrzuciła rakiety, a teraz wstrzeliwała się w naszą pozycję. Przypadłem do trotuaru, kryjąc głowę pod workami. Ale ciekawość – przemogła. Wychyliłem się zza worków. Co za widok! Właśnie rakietą, straciwszy szybkość, zaczęła teraz staczać się po czarnym niebie, ciągnąc za sobą jakąś płynną czerń smołową, którą zalewała z nieprawdopodobną szybkością jezdnię, trotuary, piwnice, piętra, dachy, aż w końcu połączyła się z czarnością nieba i pokryła wszystko nieprzeniknionymi mrokami.

Wzrok, porażony przed chwilą światłem rakiety, zaniewidział nagle. Pozostał dotyk. Namacałem wyżłobienie w workach, poprawiłem karabin i pociągnąłem za cyngiel. Rozległ się huk wystrzału, ale ognia z lufy nie widziałem. Oczy nie chwytały jeszcze blasku. Podano mi nowy karabin. Pot, spływając spod czapki, zalewał mi kark i kapał na lufę karabinu. Dobrze, [że] broń była nowoczesna. Panewka zamokłaby od razu. Czuję jednocześnie odrętwienie mięśni ramion

i karku. Nabrałem do płuc powietrza, poszukałem wygodniejszej pozycji leżącej, ale jej nie znalazłem i przełamując opór mięśni, oddałem nową serię strzałów. I oto świeżo ładowany karabin był już przy mnie. W końcu, zlany potem, ledwo żywy, zawołałem zachrypłym głosem: – Dosyć! Zmiana! Natychmiast oderwał się cień od ściany i podpełznął do worków. Wycofałem się za narożnik. Przez chwilę siedziałem nieruchomo, nie otarłszy nawet potu z twarzy. Pozwolono mi odpocząć. Potem – podano karabin do załadowania.

Była już głęboka noc, kiedy komendant odwołał mnie do bramy. Tam otrzymałem nowe polecenie. Miałem się udać w górę ulicy do naszej bazy zaopatrzenia, która, nie wiadomo dlaczego, nie dostarczyła nam zapotrzebowanej amunicji. A nasza była na wyczerpaniu.

Mając dokładny adres, udałem się w górę ulicy, pełną piersią wchłaniając zapach wędnących liści dolatujący z pobliskiego parku. Skręciwszy w przecznicę wszedłem do bramy pod wskazanym numerem. Przywitała mnie głucha cisza i pustka. Nigdzie żywego ducha! Cóż u licha! Pomylić się nie mogłem, bo wszędzie stały pootwierane lub zamknięte jeszcze skrzynie z amunicją, sienniki, dery, a nawet, na jakimś stole kuchennym – prymus wygaszony i imbryk na wodę. Wyraźne było, że coś się tu musiało stać bardzo niedobrego. Zachowując maksimum ostrożności zacząłem penetrować najbliższe zakamarki bramy. Nigdzie żywego ducha! Dopiero na klatce schodowej natknąłem się na kogoś, kto leżał nieruchomo, z rozrzuconymi rękami, straszliwie charcząc. Było nie było! Zaświeciłem zapalkę i obejrzałem leżącego. Był to, jak się okazało, któryś z naszych żołnierzy. Na szczęście, mimo wszelkich pozorów, nie był w agonii, a po prostu spał mocnym snem zdrowego, młodego chłopaka. Dobrze też musiałem potrząsnąć nim na wszystkie strony, aby go rozbudzić. W końcu się ocknął. Niełatwo mi było wyciągnąć z niego słowa prawdy. Po dłuższych namowach wyjawiał wreszcie, że jego dowódca, kapral, czy ktoś taki, wraz z swymi podkomendnymi, został wezwany na kolację. Adres: jakaś willa na Sykstuskiej, u wylotu tej przecznicy, na której właśnie była baza. Zaleciwszy żołnierzowi czujność, skierowałem się ku Sykstuskiej. Sykstuska była pod silnym obstrzałem nieprzyjacielskim. Willę bez trudu odnalazłem. Stała po drugiej stronie jezdni. Przeskoczyłem więc ulicę i z miejsca natknąłem się na nasz posterunek, pilnujący furtki wejściowej. – Dokąd? – Kto? – Gdzie? – Nie wolno! – padły słowa pikiety, przerażonej moim nagłym pojawieniem się. Wraz ze słowami wionął na mnie ostry zapach alkoholu. – Meldunek do komendanta! – odpowiedziałem groźnie i przepchałem się przez furtkę. Żołnierz już nie protestował, a nawet wskazał mi drzwi wejściowe. Wszedłem do środka. Znów posterunek. Wszedłem do hallu. – Nowy posterunek! – Gdzie komendant? – zapytałem. – Zajęty! – odpowiedział żołnierz. – To nic! – orzekłem. – Ważny meldunek! – i otworzyłem drzwi. Widok, jaki uderzył mi w oczy, pokrył sobą wszystkie doznania, jakie dotychczas przeżyłem. Ukazała się duża, jasno oświetlona sala. Pośrodku stał długi stół, nakryty białym obrusem i tonący w bukietach jesiennych kwiatów. Wśród kwiatów widniały półmiski

pełne jakichś mięsiv, szeregi butelek i kieliszków. Wokół stołu, w rozchełstanych bluzach żołnierskich, siedziało parę dziesiątków mężczyzn, których twarze promieniały radością, jaśniejac jaśniej lamp świecących nad stołem. Biesiadnicy byli już dobrze podchmieleni. Kilkanaście krzeseł koło stołu stało pustych. Panie, które dotychczas je zajmowały, siedziały teraz na kolanach mężczyzn. Stół szumiął gwarem męskich głosów, piskiem kobiet, ochrypłym śmiechem, tłumionym chichotem, brzękiem widelców i kieliszków.

Oparty na karabinie i zamieniony w słup soli czy lodu, stałem w drzwiach z krtanią ściśniętą jakimś straszliwym skurczem nerwowym. Kontrast tej pełnej światła i gwaru sali z czarną nocą, mokrymi od deszczu trotuarami, na których, kryjąc się za mizerną osłoną worków, walczyli nasi żołnierze, to pełne szyderstwa zestawienie rozbawionej sali z opuszczoną, zdaną na łaskę losu, bazą zaopatrzeniową, której jedyną osłoną był deszcz i mrok, było tak przerażające, że zaczął mnie nagle ogarniać gniew straszliwy. Czułem, że tracę panowanie nad sobą. Że jeszcze chwila, a podniosę karabin i strzelę – nie wiem – w żyrandol, w okno, lustro lub któregoś z uczujących. Tymczasem obecność moja została dostrzeżona.

– Kto wy taki? Czego? – zapytał blondyn, objuczony „dama” obejmującą go za szyję.

– Niczego! – odpowiedziałem swoją dawną manierą derebczyńską³⁴ i cofnąwszy się o krok, zatrzasnąłem drzwi, przerywając w ten sposób dalsze pytania. Śpieszyłem się. Byłem wzburzony i w obawie, że któryś z pijaków skoczy za mną i przytrzyma. Przebiegłem więc szybko podwórko willi i zniknąłem w mrokach nocy. Nie wiedziałem co robić ze sobą. Wrócić na mój posterunek i złożyć meldunek memu bezpośredniemu dowódcy z pierwszej linii – byłoby najprościej. Odpowiedzialność za dalsze koleje naszego odcinka spadłaby już na niego. Ale jakie byłyby to „koleje”? Ogołocona z załogi baza zaopatrzeniowa dawała na to pytanie wystarczającą odpowiedź. A co później? – Niespodziewany atak nieprzyjacielski i – katastrofa. Stałem więc w deszczu i mroku, nie wiedząc, co dalej robić, dokąd się udać, jak wyjść z tej wyjątkowo przykłej sytuacji. Deszcz zalewał mi policzki i przesiąkając przez płaszcz, ziębił mi ramiona; lufa karabinu mroziła uszy, serce – wyprawiało dziwne harce, raz kurcząc się i zamieniając w sopel lodu, złowróźnie zamierając, to znów żarzyło się jak rozpalony węgiel i tłukło się tak mocno, że słycać je było poprzez marynarkę i płaszcz oblepiony błotem. Jeszcze chwila, a wpadłbym w nastrój paniki. Na szczęście bicie serca nie było jedynym dźwiękiem, jaki towarzyszył myślom beładnie kłębiącym się pod moją czaszką. Mroczna cisza nocy przerywana była bez przerwy kanonadą karabinową, dolatującą spod pobliskiej poczty, a ścianę deszczu przecinały, acz niewidoczne dla oka, lecz uchwytnie dla ucha, liczne pociski, które raz świergoliły jak skowronki – gdy szły wysoko i samotnie, warczały jak rozjątrzone osy, kiedy przemykały się tuż

³⁴ Derebczyn, miejscowość na Podolu (powiat jampolski), w której 31 XII 1888 urodził się Proszko.

nad moją głową albo rozśpiewywały się żałośnie, zawodząc melodię w różnych tonacjach – kiedy lecąc wielką gromadą, ścigały się jakby i przedrzeźniały pomiędzy sobą. Niektóre pociski, biegnąc niskim lotem, uderzały w bruk ulicy. Wtedy – wraz z kłaśnięciem stali o kamienie, wytryskały z kamieni pęki iskier, a kula, odbita od bruku, dalej szła rykoszetem, wbijając się głucho w drewno bram i framug okiennych, brzęcząc szkłem wybitych szyb, szeleszcząc kruszonym tynkiem lub dzwoniąc metalicznie o mosiądz okuć lub żelazo sztachet ogrodowych. Tam też, omijając czasem przeszkody, ginęły bezgłośnie wbijając się w rozmokłe trawniki willowych ogrodów. Wsłuchując się w melodię lecących pocisków, przyszło mi na myśl, że poezja tej nocy, rozśpiewanej rojami kul mknących bez przerwy, tym się różni od innych nocy, znanych mi z świateł księżycy, przepojonego głosami słowików, że duch mój nie porzucił ciała, jak się to mu w takich okazjach zdarzało, aby usiadłszy na którejś z chmur płynących jak na damskim siodle, zasłuchać się i zapatrzeć w szmerach, blaskach i cieniach nocy, ale, przeciwnie, jako że księżycy nie było, mocno do ciała przywarł i objawwszy je w troskliwym uścisku, dotąd nim potrząsał, aż ciała z snu nie rozbudził, dając mu w ten sposób szansę ocalenia. Miałem dreszcze... Kule gwizdały tymczasem wokoło, klaskały o kamienie, krzeszały iskry i gniewnie uderzały w żelazo sztachet, o które właśnie wsparłem się plecami, szukając koniecznej dla ciała podpory – w braku chmury mającej damskie siodło zastąpić. Czułem, że mam gorączkę, a tu – diabli wiedzą dlaczego – Ukraińcy otwierali, kierowani jakby jasnowidztwem, coraz gęstszy na mnie ogień. Nie było na co czekać. Przeżegnałem się więc krzyżem świętym i jednym skokiem przesadziłem ulicę. Jeszcze parę kroków i okryłem się szczęśliwie ścianą kamienicy. Teraz mogłem spokojnie zastanowić się nad sytuacją i powziąć jakąś słuszną decyzję.

Wracać na mój odcinek byłoby niecelowe. W najlepszym wypadku – może tej nocy nic by się złego nie stało, niemniej winowajcy uszliby kary, a nikt nie mógł gwarantować, czy nie sprowadzą na nas nieszczęścia – nocy następnej. Stało się dla mnie jasne, że nie mam innej drogi, jak złożyć meldunek w głównej komendzie. Było to oczywistym zejściem z prostej drogi służbowej. Ale trudno. Nawrót do złych, nieszczęsnych narowów „pospolitego ruszenia” musiał być potępiony. Mój meldunek (a przyjął go osobiście sam komendant pułkownik T.³⁵) wywołał w sztabie wielką konsternację. Sam zresztą przyznawałem przed sobą, że to, co relacjonowałem, mimo że było prawdą, wyglądało na zmyślenie.

Nie wiem, z jakim przyjęciem spotkałaby się taka opowieść, gdyby ją wyrecytował kto inny niż ja. W moim przypadku przyszło mi z pomocą znane już po trochu we Lwowie moje nazwisko, umiejętność jasnego wyrażania swoich myśli, jaką wówczas posiadałem oraz – moja postawa rycerska, godna umieszczenia,

³⁵ Zdzisław Tatar-Trzeźniowski (1868–1921), wówczas kapitan, dowódca pierwszej placówki obrony w Szkole Sienkiewicza. Od 2 do 5 XI komendant Rzęsny Polskiej. Od 5 do 22 XI komendant grupy wojsk Odcinka I (Dom Techników) i II (Marii Magdaleny). W 1920 awansowany do stopnia majora.

bez charakteryzacji, w zbiorowych grupach *Zbójców* Schillerowskich. Była ona tak dzika, że budziła ogólną trwogę i najgłębsze poważanie.

Pułkownik jednak się nie przeląkł i, wsparłszy się oburącz w płytę stołu, obrzucił mnie nieufnym wzrokiem, bez iskry poważania, po czym zapytał, cedząc twardo wyrazy, czy wiem, co mnie czeka, jeżeli mój meldunek, obciążający mego bezpośredniego dowódcę, okaże się fałszywy?

Pytanie zdruzgotało mnie psychicznie, gdyż nie miałem pojęcia, że wśród pi-jackiej bandy znajduje się mój dowódca. Myślałem, że to kompania z tak zwanych „trenów”. Wplątałem się w jeszcze gorszą sprawę, niż myślałem na początku. Ale trudno – i tak bym nie postąpił inaczej. Odpowiedziałem więc bardzo miękko, że w wypadku błagi z mej strony nie spodziewam się dla siebie niczego dobrego, ale – dodałem – szybko opanowując nerwy – że proszę o natychmiastowe sprawdzenie moich słów, gdyż tak samo, jak nie wiem, kiedy się zabawa zaczęła, tak samo nie wiem, kiedy się skończy. Można przyjść za późno. Pułkownik przyznał mi rację. Natychmiast wyznaczył też paru oficerów, kapitana i porucznika do zbadania całej afery. Za chwilę ja i oficerowie, na czele oddziału żołnierzy, wyruszyliśmy w drogę. Niebawem – stanęliśmy u celu wyprawy. Willa tonęła w ciemności i ciszy. – Żle ze mną – pomyślałem. – Leżę jak długi! Bractwo wywiało w samą porę!... Na szczęście dla mnie było inaczej. Zaraz za furtką natknęliśmy się na pikietę. Trochę szarpaniny z żołnierzem, który za skarby nie chciał oddać broni, parę jeszcze kroków i oto byliśmy już w hallu. Z sali obok dochodziła piekielna wrzawa. Widocznie zabawa zbliżała się do swego kulminacyjnego punktu. Hall był prawie ciemny. Nagle rozjaśnił się snopem światła, jaki wypadł z drzwi roz-wartych gwałtownie przez kapitana. Wraz ze światłem ze zdwojoną siłą uderzyła nas dzika wrzawa. Jednocześnie rozległ się, sucho i twardo jak strzał karabinowy, głos kapitana: – Powstań! Wrzawa nagle ucichła. Słychać już było tylko szurgot nóg i łomot przewracających się krzesel. Wyszedłem na dwór. Tu nie miałem już nic do roboty. Stojąc na podwórku wsłuchiwałem się w głos lecących górą pocisków, których melodię psuły głosy dochodzące z willi. Kapitan nie lada miał zabawę. Po pewnym jednak czasie długa, ustawiona w czwórki gromada spokoj-niałych biesiadników, otoczonych, że tak powiem, aureolą połyskujących bagne-tów, wymaszerowała do komendy. Że przeszli w zwartym szeregu, bez strat, przez Sykstuską – było jednym z wielu cudów tej dziwnej wojny. Front nasz został uratowany. Nowy oddział zajął miejsce starego, baza ożyła, a mnie, w nagrodę za trudy, pozwolono ułożyć się do snu.

Niestety – w parę godzin później obudzono mnie. Los zrządził, żebym objął dowództwo lewego skrzydła na odcinku Bema.³⁶ A stało się to tak. Do głównej

³⁶ 5 XI 1918 na rozkaz kpt. Czesława Mączyńskiego podzielono obszar kontrolowany przez siły polskie na pięć odcinków (sektorów): Odcinek I (Dom Techników), Odcinek II (Marii Magdaleny), Odcinek III (Szkoła Konarskiego, składający się z trzech pododcinków: Dyrekcji Kolejowej, Bema, Góry Stracenia); Odcinek IV (Dworzec Główny), Odcinek V (Szkoła Sienkiewicza). Później powstał Odcinek VI, obejmujący rejon od rogatki Janowskiej po Kleparów i Zamarstynów, aż do Nowej Rzeźni.

komendy nadszedł meldunek, że dwóch oficerów, podporuczników dowodzących lewym skrzydłem, zostało zabitych i to, jak podejrzewano, przez dywersantów, ukrywających się w szeregach naszych własnych żołnierzy.³⁷ Morderstwo popełnione na owych dwóch podporucznikach nie było pierwszym. Poprzednik ich padł również od kuli wymierzonej z tyłu. Wyłapanie przeze mnie na odcinku poczty niedbałości służbowych równych dywersji, zwróciło na mnie uwagę pułkownika T. Pułkownik, wyjaśnwszy, o co rzecz idzie, zaproponował mi przyjęcie trudnej misji ukrócenia anarchii na zdemoralizowanym przez grasantów odcinku. Nieoczekiwana propozycja zdumiała mnie. Moje zapewnienia, jakimi natychmiast zarzuciłem pułkownika, że nigdy w wojsku nie służyłem i o dowodzeniu sporym, bo składającym się z przeszło trzydziestu ludzi oddziałem nie mam najmniejszego pojęcia, nie wywarły najmniejszego wrażenia. Domyśliłem się, że wybór mojej osoby tłumaczył się po prostu brakiem wykwalifikowanych dowódców. Była ich taka mała garstka, że bano się widać ryzykować jeszcze jednego, narażając go nieuchronnie na los poprzedników. Trudno. Moje stanowisko od chwili przystąpienia do zbrojnego ruchu było jasne: wypełnić obywatelski obowiązek, słuchać rozkazów, nic nie gadać. W godzinę później meldowałem się u kpt. Schwarzenberg-Czernego, dowódcy odcinka Bema. Schwarzenberg-Czerny był oficerem zawodowym, staż przeszedł w wojsku austriackim, później – możliwe – zaczął o Legiony.³⁸ Do mnie odniósł się niechętnie – czemu się zresztą nie dziwię. Byłem stuprocentowym cywilem, a więc nie ufał mi jako dowódcy ważnego odcinka. Zapewne też tytułem próby, przydzielił mnie do kompanii mającej tego ranka szturmować koszary Ferdynanda.³⁹ W ataku brałem udział jako dowódca małego oddziałku na lewym skrzydle. Z tej pierwszej bitwy w gołym polu, w gołym, bo wypadłszy z naszych zabudowań przebiec trzeba było bez żadnych osłon wielki podworec – nie wyniosłem zbyt silnych wrażeń. Wszystko szło w takim tempie, że nie było czasu na myślenie. Atak został uwieńczony sukcesem. Niemniej był to dopiero wstęp do dalszej szturmowej akcji. Zdobyte budynki były jedynie magazynami koszarowymi, dzielącymi podworec na dwie części. Kompleks koszar był dalej.

O magazyny, poza zasadniczym celem zdobycia ich jako zasadniczej bazy wypadowej, warto było się pokusić, bo zaopatrzyły nas w wielkie zapasy poaustriackiej żywności. Nasze straty – bardzo niewielkie.

Po południu objąłem dowództwo odcinka „Wolność”. Nazwa jego wywodziła się od nazwy ulicy⁴⁰, którą oddział obsadził. Z jednej strony opierał się on o ulicę

³⁷ 5 XI w ataku na koszary Ferdynanda w wyniku tragicznej pomyłki od kul polskich żołnierzy z Placówki Jura zginęli porucznik Wojciech Kułakowski i szeregowiec Jan Żelechowski.

³⁸ Jerzy Schwarzenberg [Schwarzenberg]-Czerny (1892–po 1939), w sierpniu 1914 wstąpił do oddziałów Piłsudskiego w Krakowie. Przeszedł niemal cały szlak bojowy I Brygady Legionów. 1 listopada 1916 awansował na porucznika piechoty. Od 4 XI 1918 komendant pododcinka Bema.

³⁹ Koszary im. Arcyksięcia Ferdynanda mieściły się przy ul. Gródeckiej w budynku wzniesionym w 1841. Po 1918 nazwane koszarami Bema.

⁴⁰ Ulica Wolność nosi obecnie nazwę Chorwackiej.



Sektor Bema – róg ul. Janowskiej i Wolność, 2019. Fot. J. Komorowski

Janowską, wychodząc oknami narożnika na koszary Ferdynanda, z drugiej obejmował wzgórze, słabo zadrzewione, które nosiło nazwę Góry Hyclowej⁴¹, czy też „Psiej Góry” – dobrze nie pamiętam! W każdym razie nazwa była bardzo ponura.

Na wprost obsadzonych przez nas kamienic znajdowały się tuż przy rogu ulicy dwie czy trzy kamienice czynszowe, a dalej mur, który oddzielał od ulicy ogród szpitala starozakonnnych.⁴² Moja kwatery i odwody mieściły się w narożniku, którego podwórko przypominało nieco wielki basen czekający na nawodnienie. Z dwóch stron okalającej go Góry Hyclowej miało to podwórko wysoki taras podmurowany betonem czy cegłą. Przy ścianie tarasu stała kryta, żelazna studnia z pompą.

⁴¹ Góra Hyclowa (Hycla Góra, Góra Wiśniowskiego, Góra Stracenia) – wzgórze w północno-zachodnim rejonie Lwowa. Od XV w. miejsce trawienia przestępców. Nazwę Góra Stracenia uzyskała, gdy Austriacy w 1847 powiesili tu organizatorów powstania 1846: Teofila Wiśniowskiego i Józefa Kapuścińskiego. W 1895 wzniesiono ich pomnik (istniejący do dziś). W 1918 ze względu na strategiczne położenie była miejscem zaciętych walk.

⁴² Szpital żydowski Maurycego Lazarusa przy ul. Rappaporta.

W górę ulicy Janowskiej, osłoniętymi od ostrzału ogrodami szło się do zakonnicy, które oddały swój dom na szpital dla rannych.⁴³ Poza tym, że były one doskonałymi i odważnymi sanitariuszkami, chwalono je również za wikt, jaki gotowały dla braci żołnierskiej. Był rzeczywiście – wspomniały!

Zaraz po objęciu dowództwa obszedłem, wraz z sierżantem Dyaczyńskim⁴⁴, cały mój odcinek, łącznie z ową pieską górą. Tam była nasza pięta Achillesowa. Dysponowałem za małymi siłami, aby ją rzetelnie obsadzić!⁴⁵ Trzeba było poprzestać na zabezpieczeniu newralgicznych punktów szczupłymi posterunkami, a dysponować – w razie potrzeby – silnym odwrotem. Zajęte przez nas kamienice stanowiły dostatecznie silną zaporę. Poza otworami, zabezpieczonymi jedynie workami z piaskiem, a koniecznymi w razie wypadu, wszelkie inne były dość dobrze umocnione. Braki kazałem natychmiast uzupełnić. Podczas przeglądu odcinka okropne wrażenie zrobiły na mnie leżące pod naszymi oknami trzy trupy: jednego żołnierza i dwóch siostr-sanitariuszek. Żołnierz padł podczas nieudanego naszego ataku. Sanitariuszki zostały zastrzelone przez siczowników w chwili, kiedy poszły opatrzyć rannego i zabrać go z ulicy. Trupy, związane w jakąś straszliwej kompozycji grupę, leżały już kilka dni, burząc krew w żyłach naszych żołnierzy. Odcinkiem „Wolność” dowodziłem około dwóch tygodni, aż do ostatniego, generalnego ataku, który oddał Lwów w nasze ręce.

Miłą pamiątką z tego okresu mego życia jest piękny wiersz Ludwika Eminowicza *Ekspresjonista na Odcinku Bema*, drukowany w krakowskim „Rydwanie”, wydawanym przez Cezarego Jellentę.⁴⁶ Mniej miłą pamiątką jest (o ile się zachował) nieprzyjazny, a nawet napastliwy artykuł pióra kpt. Schwarzenberg-Czernego, drukowany w jednym z numerów krakowskiego „Kuriera Ilustrowanego” (IKC) pod tytułem *Czerwony malarz na Odcinku Bema*. Fakty tu podane albo nie istniały, albo zostały złośliwie przekręcone.

Z dwóch tygodni spędzonych na ul. Wolność najbardziej upamiętniła mi się ostatnia noc. Spędziliśmy ją o pięciu nabojach w karabinie, była to reszta naszej amunicji. W razie ataku ukraińskiego – niewątpliwie dalibyśmy gardło. Na szczęście dla nas dowództwo ukraińskie przegapiło pomyślny dla siebie moment. Ocaleliśmy. Rankiem nadeszły nasze posiłki. Był to krakowski Legion Akademicki.⁴⁷ Dowództwo Legionu zaraz po podejściu pod Lwów zaczęło wykonywać manewr oskrzydający, podczas którego nasze oddziały przeszły do generalnego, frontowego ataku. Ukraińcy cofnęli się na całej linii – pozostawiając Lwów

⁴³ Zgromadzenie Sióstr Felicjanek przy ul. Janowskiej.

⁴⁴ Nazwisko nie jest odnotowane w publikacji *Obrona Lwowa 1-22 listopada 1918*, op. cit., pojawia się natomiast (w wersji: Dyaczyński) w utworze Eminowicza *Ekspresjonista na Odcinku Bema*.

⁴⁵ Górę Stracenia obsadzili żołnierze oddziału por. Romana Abrahama, zwani „Straceńcami”.

⁴⁶ Pierwodruk: „Rydwan” 1919 t. 5, z. 1–2; przedruk: „Pamiętnik Teatralny” 2018 z. 3, s. 106–113.

⁴⁷ Legia Akademicka – ochotnicza formacja wojskowa młodzieży studenckiej, utworzona w listopadzie 1918 w Warszawie, a następnie w innych miastach. Legion krakowski wchodził w skład odsieczy Lwowa, dowodzonej przez ppłk. Michała Tokarzewicza-Karaszewskiego.

w naszych rękach. Noc poprzedzająca ten atak, spędzona w grozie oczekiwania na nieprzyjacielskie kontruderzenie uprzedzające odsiecz, w głębokim przekonaniu, że żadna, w żadnej formie pomoc doraźna przybyć nie może, szarpała nerwy. Noc tę, od zmierzchu do świtu, przechodziłem na niekończącym się przeglądzie posterunków, krzepiąc serca żołnierskie bufonadą i obietkami rychłego zakończenia krytycznej sytuacji, budząc jednocześnie i karcąc tych pośród nich, którzy – oparłszy głowę na karabinie – usnęli tak jak stali, snem ludzi śmiertelnie przemęczonych.

Podówczas cała ulica Wolność była już w naszym posiadaniu. Zajęliśmy ją w ataku zaimprovizowanym przeze mnie, bez porozumienia się ze Schwarzenberg-Czernym. Wielka awantura na moim odcinku bardzo go zdenerwowała, ale zakonspirowany atak tak znakomicie zaskoczył przeciwnika, że nie poniosłem żadnych strat. Schwarzenberg miał mi przy tym bardzo za złe zabawę, jaką urządziłem z reflektorami.⁴⁸ Opisał ją Eminowicz... Nie była ona niczym innym, jak dymną zasłoną, za którą ukryła się moja akcja zasadnicza. Na parę dni przed tym mieliśmy parogodzinne zawieszenie broni. Dało nam ono okazję do zabrania z ulicy leżących tam zwłok. Pragnąc obejrzeć teren walk, stojąc na nim bezpośrednio, wyszedłem z bramy na ulicę. Jednocześnie wyszedł z przeciwległej kamienicy dowódca ukraiński. Był to chłop rosły, szeroko rozbudowany, z twarzą okrągłą, czerstwą, odcinającą się mocną czerwienią od szarozielonkawej, ośmiokątnej rogatywki. Małe, brązowe oczy, zadarty nos, wystający podbródek, zacięte usta. Siczownik jak się patrzy! Rozmawialiśmy przedzieleni niedużej szerokości ulicą. Żaden z nas nie odważyłby się podejść bliżej.

Mój rozmówca rzucał na mnie nieufne i dość dzikie spojrzenia, przy czym odgrażał się, że zrobi z nas wszystkich drobno krajaną sieczkę. Jego kiepski żart, uporczywie powtarzany w kółko, starałem się odeprzeć bardziej doborowymi, a na zakończenie, ponieważ czas zawieszenia broni kończył się, rzekłem pojednawczo: „Jeżeli wy pójdziecie naprzód – Lwów będzie wasz. Jeżeli my – to nasz – i szkoda gadać, naszym będzie jak amen w pacierzu!”. Był to z mojej strony bluff. Wiedziałem przecie – że amunicja kończy się nam z przerażającą szybkością i nie ma nadziei na uzupełnienie braków. Ale siczownikaomalże krew nie zalała. Cofnąłem się więc szybko do bramy i kazałem ją na gwałt umocowywać. W parę dni później pikiety nasze stały wzdłuż muru oddzielającego ulicę od ogrodu szpitala żydowskiego. W murze wybiliśmy okienka strzelnicze, pozwalające na dokładny dozór całego ogrodu.

Noc krytyczna, niezbyt ciemna, jaka nastąpiła po pogodnym dniu, zapewniała dość daleką widoczność – niemniej – jak to w nocy: pień lub krzak przybierał nagle kształt człowieka, a człowiek, który dołożył starań ukrycia swej obecności,

⁴⁸ Schwarzenberg, w przeciwieństwie do Pronaszki, ocenił, że samowolna akcja z reflektorami przyniosła „wielkie straty”. Zob. J. Schwarzenberg-Czerny, *Bemaki. Gawędy żołnierskie*, [Warszawa ok. 1936], s. 122. Przedruk: „Pamiętnik Teatralny” 2018 z. 3, s. 114.



Góra Stracenia z pomnikiem Wiśniowskiego i Kapuścińskiego, 2019. Fot. J. Komorowski

mógł liczyć na uwieńczenie swych usiłowań powodzeniem. Na szczęście – nieprzyjaciel nic nie wiedział o naszej bezsile. Martwa cisza, jaką nakazałem zachowywać żołnierzom – została zrozumiana jako wstęp do jakiegoś potężnego ataku i przeciwnik zamarł w bezruchu, co jakiś tylko czas otwierając gęsty ogień. Palba, nie podtrzymywana przez nas, urywała się tak nagle, jak powstała. W ten sposób noc, pełna nerwów, przeszła właściwie zupełnie spokojnie. Muszę tu oddać pochwałę wszystkim bez wyjątku żołnierzom mojego odcinka. Ich postawa pełna determinacji – była wspaniała. Tym boleśniesz było dla mnie szukanie wśród nich domniemanych zabójców moich poprzedników. Nie znalazłem ich. Udało mi się natomiast pochwycić na Hyclowej Górze jakąś bandę, która nie mogła się wytłumaczyć ze swej tam obecności. Oddałem ją w ręce żandarmerii. Być może znaleźli się wśród nich poszukiwani mordercy. O ile winni byli tylko wejścia na chroniony przez nas teren – zawdzięczali mi życie. Wracając bowiem z przeglądu odcinka, zastałem na podwórku dziwną scenę, zaaranżowaną przez mego sierżanta. Na murze tarasu stał karabin maszynowy, wycelowany w grupkę ludzi klęczących pod ścianą kamienicy. Sierżant, uważając, że złapał dywersantów winnych zabójstwa naszych oficerów, przygotował wszystko, aby ich gładko rozstrzelać. Dziękowałem Bogu, że sierżant, oczadzony tak jak wszyscy oparami walk bratobójczych, zachował jeszcze na tyle przytomności umysłu, aby zaczekać na moje zezwolenie.

Stosunek żołnierzy do mnie był nienaganny. A nie był to łatwy materiał. Przeważali chłopcy ze sfer robotniczych o poglądach bardzo radykalnych. Byli i inni, bez wyraźnego przydziału społecznego. Na wojnie marzenia o poprawie swego losu nabierają ostrych form. Słowo „forma” [jest] w tym wypadku nie na miejscu. Każda forma bowiem ma swoje granice. Wojna rozbija granice nie tylko państwowe, ale, co znacznie gorsze, granice zakreślone etyką. Na wojnie hamulce moralne przestają działać. I nie może być inaczej. Sankcjonowane wojną zabójstwo, sankcjonuje wszelkie inne przestępstwa.

Obudzenie w żołnierzach uczuć obywatelskich i patriotycznych postawiłem sobie jako jedno z moich naczelnych zadań. W dużej części udało mi się to. W każdym razie podczas okresu mego dowództwa ludność cywilna nie wносиła żadnych skarg obciążających żołnierzy mego odcinka. Być może zresztą, że na podniesienie morale obywatelskiego – wpłynął i mores, który potrafiłem sobie zapewnić od chwili wejścia na mój odcinek.

Spod mojego wpływu wyłamało się zaledwie dwóch osobników i to już podczas generalnego ataku, kiedy zdarzenia niezależne ode mnie ułatwiły im wyslizgnięcie się spod mojej kontroli. A było to tak. Dnia krytycznego, wczesnym rankiem zjawił się na moim odcinku Schwarzenberg-Czerny i zarządził ostre pogotowie. Zaczęliśmy się przygotowywać do szturm. Bramy wypadowe zostały odstemplowane, a posterunki z Góry Hyclowej wycofane; górę tę obsadziły oddziały Abrahama. Wczesnym świtem rozpoczął się atak. Prowadził go osobiście Schwarzenberg-Czerny. Ja z częścią oddziału uderzyłem od flanki na koszary Ferdynanda, wspomagając oddział atakujący koszary od strony ulicy Bema. W chwilę potem – ruszyłem biegiem na ulicę Janowską, gdzie dopędziłem Schwarzenberga, który, spotkawszy się z silnym obstrzałem, musiał się zatrzymać. Dalej szliśmy razem. Posuwając się naprzód bardzo szybko, niemalże biegiem, pozostawiliśmy za sobą gmach teatru i niebawem znaleźliśmy się na przedmieściu. Tu dopadł Schwarzenberga goniec. W śródmieściu rozpoczęły się zamieszki. Mając rozkaz, zabrałem z sobą kilku żołnierzy i ruszyłem z powrotem.

Na Janowskiej i Wałach Hetmańskich paliły się całe kamienice. Ulice zalegał rozgorączkowany tłum, rabujący sklepy. Wśród tłumu szumowin wyłapałem dwóch moich żołnierzy, którzy tłumaczyli swoją tam obecność ogniem karabinowym, jaki ponoć otworzyli z tych kamienic kryjący się tam dywersanci. Niestety nie mogli się wytłumaczyć z posiadania sporej ilości biżuterii, jaką niewątpliwie zrabowali w rozbijanych sklepach. Rabusiów oddałem w ręce żandarmerii, przerywając jej odrętwienie rozkazem dania ognia w powietrze. Tłum się rozpieczęł. Podczas ucieczki przechwyciliśmy jeszcze kilkunastu łobuzów objuczonych zrabowanym towarem, w czym dopomógł nowy nasz oddziałek, który przywędrował tu w tym samym co i ja celu.

Widząc, że zamieszki zostały w tej części miasta opanowane, przypomniałem sobie – o teatrze. Przyjął mnie woźny teatralny. Teatr ział pustką. Na pytanie jak się powodzi aktorom, poinformował mnie woźny, że część zespołu, przeważnie

dramatycznego, siedzi w podziemiach teatru, gdzie schronili się, zaskoczeni wojną o Lwów. Żle się im wiodło: byli bardzo bladzi, głodni i wystraszeni. Siedzenie w lochach, choć są one czasem niezłym schronem przed bombardowaniem, źle wpływa na psychikę ludzką. Wśród aktorów najbardziej wystraszonego był młody Rygier⁴⁹, chłop jak byk. Cóż z tego, kiedy siła ciała nie odpowiadała siłą ducha. W ciągu paru tygodni nie wychodził z podziemi. Nie przeszkodziło to temu, że w rok później paradował na ulicach Lwowa z Krzyżem Obrony Lwowa na piersiach. Ja go nie posiadałem. Nie ma to jak mieć licznych przyjaciół – tego samego, jakim się samemu jest, pokroju.

Mój udział w obronie Lwowa zakończył się w miesiącu kwietniu [1919]. Ostatnich kilka miesięcy byłem w pułku dowodzonym przez płk. Hausnera⁵⁰, jako pułkowy malarz wojenny. Była to droga powrotna do stanu cywilnego. Kariery wojskowej robić nie zamyślałem – poza tym nie mogłem się uzgodnić ze Schwarzenberg-Czernym i pozostawać pod ciągłym ostrzałem jego podejrzeń i niechęci. Jako malarz wojenny szkicowałem teren zajęty przez nieprzyjaciela i towarzyszyłem stale Hausnerowi podczas objazdów odcinka. W kwietniu rozchorowałem się ciężko na płuca i dostałem bezterminowy urlop. Przed tym jeszcze widziałem się z moim młodszym bratem, Stefanem⁵¹, który przybył do Lwowa wraz z pułkiem ułańskim; służył w nim w stopniu szeregowego. W czasie, kiedy już byłem w Warszawie, został chłopak w jakiejś potyczce ciężko ranny w nogę. Ledwo trzymając się siodła – dojechał do jakiejś wsi, skąd podwodą odwieziono go do szpitala we Lwowie. Noga już była zgangrenowana. Na szczęście udało się ją lekarzowi odratować.

*Opracowały
Monika Chudzikowska, Mariola Szydłowska*

⁴⁹ Jerzy Rygier (1887–1952), syn Edmunda Rygiera. W sezonie 1918/19 występował w Teatrze Miejskim we Lwowie.

⁵⁰ Ryszard Jan Hausner (1868–1925), oficer austriacki, 2 XI 1918 internowany w Stanisławowie przez Strzelców Siczowych. Odzyskawszy wolność, udał się do Lwowa i wstąpił do Wojska Polskiego. Jako dowódca 2 pułku Strzelców Lwowskich bronił miasta przed próbami odbicia przez Ukraińców.

⁵¹ Stefan Oskar Pronaszko (1896–1943), major dyplomowany kawalerii oraz piłkarz (jeden z założycieli drużyny Polonia Warszawa). Od listopada 1918 w Wojsku Polskim. Uczestnik wojny polsko-bolszewickiej 1919–1920 oraz kampanii wrześniowej. Po kapitulacji Warszawy w niewoli niemieckiej. Zamordowany przez Niemców po nieudanej ucieczce z Oflagu VI B Doessel.